

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCIE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

MODLITWA DRZEW.

Drzewa się modlą. W perłowym powietrzu
Snują się ciche, uroczyste szумы
Cały sad pełen pobożnej zadumy
Szepcze pacierze... Trawy, kwiaty, zioła
Wznoszą ku niebu roztkliwione oczy;
Pył dyamentowy strząsając z warkoczy
Raz po raz drzewa kornie chylą czoła.
Cały sad płacze... Jęki i westchnienia
Drzą w ciszy... liście zbudzone szeleszczą
Łzy płyną, płyną i koją i pieszczą —
Niebo różowa jasność opromienia.

PIOTR ALTENBERG.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ.

[Z CYKLU: BRZEG MORZA].

Zjawiała się codziennie o piątej popołudniu na plaży.

Muzyka grała w żółtym drewnianym pawilonie a damy przechadzały się w cudnych sukniach i kapeluszach.

Przy stołach na plaży półkolem w morze wbiegającej lśniła się przeważnie biel i fiolet lub biel i zieleń. Były to modne barwy. Ale na tej szerokiej fali delikatnych materyi, żółtej słomy, kwiatów, sowich i strusich piór, występowały też czerwonordestwe i stalowobłękitne jedwabne plamy i jasne lśniące-brunatne, jakby kawowe — z surowego jedwabiu, z matowemi, szkockiem i wstążkami...

Młoda pani, która zjawiała się codziennie o piątej na deptaku, była cudnie piękną i miała cudne suknie. Naprzykład taką z różowobrazowego jedwabiu, strojną białym i jasnozielonym haftem.

Ale najpiękniejszą jej ozdoba było dziecko, idące przy jej boku z boną.

L'enfant russe, Katja.

To jest piękność, wdzięk, wesołość słodka i światło białe, ołsniewające, czarowne. To jest człowiek, za jakim tęskni o ideałach śniąca przyroda. To jest poemat starej rodzicielki ziemi...

Bogaci, wytworni panowie siadywali przy młodej pani..., lecz nigdy razem. Na przykład pan hrabia T. a następnie pan A., później rotmistrz baron; albo też przeciwnie. Kolejnego porządku nie zachowywano.

Ten i ów spoglądał tylko w tę stronę, bez

ukłonu i uśmiechał się. Inni z ukłonem, jakby mówili: „Witam cię! Ho! Dlaczego nie?! Przecie to miejsce kąpielowe, rendez-vous świata!“

Katja siedziała tam, złotowłosa, z cudownemi, słodkimi oczyma...

Nikt na nią nie zwracał uwagi.

Mama, śliczna mama oparła łokcie o stół i patrzyła na drzewa o liściach szerokich, na lśniące morze, w oczy pana...

O siódmej odesłano Katję spać.

Powiedziała słodko: „adieu mami“...

Młoda pani nie odpowiedziała nic...

Oparła łokcie o stół i patrzyła na drzewa o liściach szerokich, na lśniące morze, w oczy pana...

Na plaży się ściemniało.

Cudna młoda pani szła powoli wzdłuż alei...

Nikt na nią nie zwracał uwagi. Do tej chwili księżniczka życia a teraz z nadchodzącym wieczorem samotna!.. A w nocy może znów księżniczka, królowa, bogini...

Zmierzch wieczorny, spokój...

Rodzice siedzą na ławkach, nieco znużeni wybieczkami; dzieci myślą z poważnemi minami o kolacyi, a młodzi, którzy się kochają, prowadzą ciche rozmowy i czują się niezmiernie szczęśliwymi... Mają wrażenie: „to jest niezapomniana chwila w mem życiu...“ Ci młodzi, co się kochają, mają zawsze takie niezapomniane chwile.

Młode dziewczęta myślą: „Może to będzie tak... Kiedyś powiem: „Czy pamiętasz, jak siedzieliśmy wtedy na deptaku?!“

Wtedy powiedziałam: „Jak się morze w zmierzchu rozplywa a mimo to lśmi!“

A ty powiedziałaś: „jak ty...!“ Wtedy byłś podobny do poety!

A potem nadchodzi matka, to nieuduchowione stworzenie, co stoi na straży duszy i mówi: „Elli“ albo „Marion“ albo „Riketto“, „myślę, że się robi chłodno“, albo „jest późno — myślę, żebyśmy szli do domu“...

A młodzi ludzie mówią: „Do widzenia pani, przyjdzie pani jutro rano na deptak?!“

A panny mówią „może...“. Panny mówią zawsze „może“, ale myślą „z pewnością“!

Plac opustoszał.

Młoda, śliczna pani usiadła na ławce.

Morze śpiewało słodką pieśń...

A wraz śpiewała jej znużona, dumna dusza, śpiewała jedynym odgłosem miłości, jaki w niej brzmiał: „adieu mami“...

Z niem. przetł. WŁAD. MILKO.

MAURYCZY MAETERLINCK

SIOSTRA BEATRYKS.

SCENY AKTU DRUGIEGO.*)

Dekoracye aktu I. Wielką bramę klasztorną znowu zamknięto; natomiast otwarte są wszystkie okna krużganka, przez które wpadają pierwsze promienie słońca. — Padezas uwertury słychać ostatnie dźwięki dzwonu, wzywające na jutrznię. — Zaledwie podniesiono kurtynę, widać, jak się ożywia posąg Madonny, jak Dziewica, niby z długich, bożych snów zbudzona, zstępuje z piedestału, zbliża się ku kracie i na promienistą swą szatę i jaśniejące włosy zarzuca płaszcz i welon, który zostawiła siostra Beatryks. Następnie zwraca się ku stronie prawej, wyciąga rękę, a na giest jej otwierają się wrótnie kaplicy; widać w niej ołtarz, a świece na nim zapalają się jedna po drugiej jakby na czarodziejskie zaklęcie. Następnie podsyca lampkę, bierze z pod stopni posagu koszyk, zawierający ubranie, przeznaczone dla biednych, i z śpiewem na ustach zwraca się ku wrótniom klasztoru.

DZIEWICA śpiewa:

Wszelakiej duszy, co płacze,
Wszelkiej skruszonej winie
Z rąk moich promienistych
Łaska przebaczeń płynie.

Z modlitwą Miłości przy boku,
Wstałeś, człowieku, z bezprawia —
Nie zmarłaś, biedna duszo:
Miłość cię łączy swoją zbawi.

A Miłość gdy błądzić pocznie
Po tej padolnej ziemi,
Ja ją wywiodę z matni,
Płaczącą łzami rzewnymi.

Podczas ostatnich wyrazów tej pieśni, jakaś ręka puka bojaźliwie do bramy klasztornej. Dziewica otwiera oba skrzydła, na progu staje małe, bosa dziewczę, nadzwyczaj nędzne i zaniedbane. Dziewczę chowa się do połowy za obramienie wrótni i z przerażeniem patrzy na Dziewicę.

DZIEWICA: Dzień dobry, Aletto. — Czemu się chowasz?

ALETTA zbliża się ku Niej, żegnając się z przestachem i jakby w ekstazie:

Siostró Beatryks, piękniejszą jesteś od Niej — —

DZIEWICA: Oto jest dzień Pański i bardzo jestem szczęśliwa.

ALETTA: Dla czego masz tę światłość na sukni?

DZIEWICA: Światłość jest wszędzie, gdy słońce wstaje.

ALETTA: Dla czego gwiazdy masz w oczach?

DZIEWICA: Często one błyszczą w głębinach ócz rozmodlonych.

ALETTA: Dla czego promienie masz na rękach?

DZIEWICA: Zawsze je mają ręce, rozdzielające jałmużnę.

ALETTA: Przybyłam tutaj samiutka...

DZIEWICA: Gdzież są nasi biedni braciszczowie?

ALETTA: Nie ważyli się przyjść z powodu zgorzienia.

DZIEWICA: Jakiego zgorzienia?

ALETTA: Widzieli Beatryks na koniu królewicza.

DZIEWICA: Zaliż nie jestem podobna do pokornej Beatryks?

ALETTA: Opowiadają, że ją widzieli i że mówiła z nimi...

DZIEWICA: Ale Bóg tego nie widział i nie nie słyszał...

Podnosi małą na ramiona i całuje ją w czoło.

O biedna moja Aletto!... Ciebie jedną mogę dzisiaj uścisnąć... Niewinność uczuła obecność Boga, ale to jej spokoju nie zakłóci...

Spogląda Aletcie w oczy.

O jakżeż czystą jest dusza ludzka, gdy ją się taką widzi. Aniołowie piękniejsi, tylko, że nie mają łez. Chodź, chodź, moje biedne dziecię, widzę, jak twoje płyną w głębi przyszłości, i ty poznasz, ile było tych łez...

Stawia Alettę na progu.

Gdzież są nasi biedni braciszczowie?.. Idź i powiedz im, że miłość pełna jest niecierpliwości, idź, powiedz im, aby się spieszyli...

ALETTA, odwraca głowę i spogląda po za bramę klasztoru:

Idą, siostró Beatryks.

Istotnie ubodzy, starcy, słabi, chorzy, kobiety z małemi dziećmi na rękach, zbliżają się bojaźliwie i, zdając się rozpoznawać Beatryks, podchodzą niepewnym, krokiem, wahający się i zdumieni, ku progom, stają przed bramą, patrzą i czekają.

DZIEWICA nachyla się nad koszem z odzieniem:

Na co czekacie, bracia moi, i co się wydarzyło? Spieszcie się, spieszcie! Słońce już wzeszło, godzina modłów i siostry moje zaraz tu się zjawią; brama się zawrze i chwila jałmużny minęła... Chodźcie tu wszyscy, bo czas już, spieszcie się, chodźcie tu wszyscy...

UBOGI STARZEC, zbliżając się:

Siostró, widzieliśmy dwie mary tej nocy...

DZIEWICA daje mu płaszcz, który, gdy go wyciąga z kosza, oblewa się jasnością:

Nie trzeba już myśleć o marach nocy.

KALEKA zbliża się również, wsparty na kulach:

Siostró, mieliśmy złe myśli...

DZIEWICA wyciąga z kosza inne odzienie, które jak gdyby pokryło się drogimi kamieniami:

Otwórz oczy, mój bracie, bo oto nadeszła godzina przebaczenia...

UBOGA KOBIETA: Siostró, potrzebny byłby mi całun dla matki.

INNA: Siostró, a ja cię proszę o powijaki dla naszego noworodka.

Thumnie, pożądlwie wzdychający, z wyciągniętymi ramionami cisną się ubodzy naokoło Dziewicy, którą pochyłona nad koszem, wyciąga pełną ręką promieniste płaszcze, błyszczące nakrycia i światłem zlaną bieliznę. Podczas wyjmowania kosz napelnia się coraz to większą ilością coraz to kosztowniejszych, coraz promienistszych materij; jak gdyby zdumiona swoim własnym cudem, Dziewica rozdziela te skarby, napelnia niemi wyciągnięte dłonie biedaków, nakrywa ich ramiona, dzieci odziewa błyszczącymi sukienkami, mówiąc podczas tego:

Chodźcie wszyscy! chodźcie wszyscy!.. Tu oto, blady całun, a tutaj śmiejące się pieluszki... Życie tu i śmierć i jeszcze raz życie... Chodźcie wszyscy,

*) Patrz „Tyg. Słowa Polskiego“ z r. 1922.

chodźcie wszyscy!.. chodźcie wszyscy, oto jest godzina miłości, a miłość nie ma granic. Chodźcie, wspomagajcie się wzajemnie, przebacжайcie sobie urazy i w życiu swoim zlewajcie razem szczęście i łzy wasze!.. Chodźcie wszyscy, miłujcie się i przebacжайcie tym, którzy grzeszą. Chodźcie wszyscy, zabierajcie wszystko, Bóg nie widzi zła, gdy je spełniono bez nienawiści!.. Chodźcie wszyscy, przebacжайcie, niema grzechu, którego by nie dosięgło przebaczenie!..

Ubdzy, pokryci jaśniejącymi szatami, stoją oślepiali i jakby bez zmysłów. Niektórzy z nich uciekają w pole, powiewając błyszczącymi od drogich kamieni materyami i wznosząc okrzyki radości. Inni, łkając z wdzięczności, otaczają Dziewicę i całują jej ręce. Atoli przeważna część, mileżąca i jak gdyby nadziemskim przejęta dreszczem, ukłękła na schodach i szepee modlitwy. Wtem odzywa się głos dzwonu; koszą się od razu wypróżnić, a Dziewica, łagodnie odsuwając cisnących się ku Niej ubogich, zawiiera za nimi skrzydła wrót klasztornych.

DZIEWICA, zamykając bramę:

Odejdźcie w spokoju, bracia moi, nadeszła godzina modlitwy!..

Po przez bramę zamkniętą słysząc jeszcze szept modlitwy ubogich, zmieniający się powoli w jakiś nieuchwytny śpiew dziękczynienia i zachwytu. Słysząc drugie i trzecie uderzenie dzwonu; z lewej strony, z głębi krużganka wyłaniają się zakonnice z przeoryszą na czele, aby się udać do kaplicy.

PRZEORYSZA zatrzymuje się przed Dziewicą, która z pochyłą głową i z skrzyżowanymi na piersiach rękami czeka u zamkniętych wrót:

Siostró Beatryks, w tych miesiącach letnich dzwoni się na jutrznię przed kwadransem na trzecią. Trzy dni pościć będziesz i modlić się będziesz trzy noce przed statuą Dziewicy, która była Matką.

DZIEWICA chyli się na znak pokory i posłuszeństwa:

Niech będzie Bóg pochwalony, matko!..

Przeorysza kroczy dalej ku piedestałowi posagu, który jej dotychczas zakrywała ścianą, dźwigająca łuk bramy. Chce ukłęknąć, wtem, podniósłszy oczy do góry, zatrzymuje się nagle, wydaje krzyk, upuszcza książkę z rąk i krzyż i czyni ruch niewystawionego oślepienia i przestachu.

PRZEORYSZA: Niema Jej!..

Z wyrazami niepokoju, a potem jak szalone, biegną zakonnice ku przeoryszy i cisną się naokoło piedestału; po chwili pierwszego przerażenia, mniszki drzące z grozy i przestachu, jedne stojąc, drugie klęcząc, krzycząc, jęcząc i łkając.

ZAKONNICE: Nie ma jej! Dziewica znikła! — skradziono wizerunek!.. Bezbożnicy! bezbożnicy! Nasza Matka! nasza Matka!.. Świętokradztwo! świętokradztwo! Cóż nam teraz czynić, matko? Zniważono klasztor! Świętokradztwo! świętokradztwo!.. Dom się rozsypie w gruzy! Świętokradztwo! świętokradztwo!..

PRZEORYSZA woła:

Siostró Beatryks!..

Dziewica podchodzi i zatrzymuje się przed przeoryszą, popod piedestałem; wzrok zatapia w miejscu, na którym stał Jej posąg i jak gdyby była odcięta od zewnętrznej świata, oblicze jej i oczy płoną nieruchomo

nie światłem dziwnego spokoju i obojętnej na otoczenie nadziei.

PRZEORYSZA: Siostró Beatryks, twoim obowiązkiem było Jej strzedz; twoim obowiązkiem było dzień i noc czuwać nad chwałą Tej, która z klasztoru tego uczyniła skarbiec Swej łaski i przybytek Swej miłości. Rozumiem twój niepokój i podzielam twój przestach. Mimo to nie bój się niczego. Wola boska żywi niekiedy zamiary, które w niwecz obracają naszą żarliwość i naszą czujność; mów, odpowiadaj, tyś musiała to widzieć, ty musisz wiedzieć o tem.

DZIEWICA nieodpowiada.

PRZEORYSZA: Mówże, odpowiadaj!.. Cóż się z tobą dzieje? Dziwną się wydajesz, a chwilami oblicze twoje jakby płonęło!.. A cóż na tobie za odzienie, do naszych niepodobne sukien?.. Czyż mnie zwodzą oczy? Patrząc na ciebie, można by powiedzieć, że nie jesteś tą samą!.. Pod płaszczem cóż ty ukrywasz takiego, że prześwieca nawet przez włosienie?

Dotyka się płaszcza Dziewicy.

A cóż to za włosienica, której faldy jaśnieją, promieniami światła zlewając me ręce?

Rozchyła jej płaszcz i ujrawszy pas, woła z przerażeniem:

Miłosierdzia! Cóż to jest?!

Zrywa z niej płaszcz, a potem z tym samym ruchem oślepienia i grozy zdiera welon, osłaniający włosy Dziewicy; ta zaś, wciąż nieruchoma i jakby nieczuła, ukazuje się naraz w tym samym stroju i w tym samym kształcie, jak jej statua, znajdująca się w pierwszym akcie na piedestale. W pierwszej chwili odważyła przeorysza i tłoczącymi się naokoło niej mniszkami bolesne i jakby niedowierzające milczenie; poczem przeorysza, pierwsza się otrząsnawszy z tego, chowa oblicze w dłonie i woła z ruchem grozy i potępienia:

O Boże!

ZAKONNICE: Matko boska!.. Przenajświętrza Dziewico!.. Okradła posąg!.. Siostró Beatryks!.. Nie odpowiada!.. Szatani! szatani! Te mury się pomszczą! Szaleństwo! szaleństwo! szaleństwo! Groza! groza! groza! Nie czekajmy, aż grom w nas uderzy! Świętokradztwo! świętokradztwo!..

Zakonnice cofają się przerażone i chcą uciekać. Przeorysza je powstrzymuje odpowiednim gestem i podniesionym głosem:

Córki moje, słuchajcie! Nie uciekajcie, me córki! Oczekujmy naszego losu; nie rozdzielajmy się, połączmy ręce nasze i modły naokół tej świętokradczyni i usiłujmy powstrzymać Gniew, który idzie na nas!..

SIOSTRA KLEMENTYNA: Matko, proszę cię, nie czekajmy!..

SIOSTRA FELICYA: Spieszmy po księdza!..

PRZEORYSZA: Tak, macie słusność!.. Idźcie, siostró Klementyno i siostró Felicyo!..

Siostra Klementyna i siostra Felicya zwracają się ku kaplicy.

Spieszcie się, spieszcie! on będzie lepiej wiedział od nas, co nam uczynić wypada, aby, jeżeli jeszcze mamy czas, powstrzymać tryumf złego i miecz Archaniola!.. Siostry moje, biedne moje siostry!

Nie ma już nazwy na grozę, a oczy nasze pograjają się w czeluściach piekieł.

SIOSTRA GIZELA sblizając się ku Dziewicy:
Bezbożnica!..

SIOSTRA BALBINA idąc w jej tropy:
Świątokradczyni!..

SIOSTRA REGINA nie posiadając się z wściekłości:
Szatan! szatan! szatan!..

SIOSTRA EGLANTYNA głosem smutnym a prze-słodkim:
Siostro Beatryks, cóżes uczyniła?..

Na głos ten Dziewica odwraca głowę, spogląda na siostrę Eglantynę i słodko się do niej uśmiecha.

SIOSTRA BALBINA do siostry Eglantyny:
Patrzy na ciebie.

SIOSTRA GIZELA: Zda się, jakby się przebudziła.

SIOSTRA EGLANTYNA: Siostro Beatryks, możesz nie wiedziała..

PRZEORYSZA: Siostro Eglantyno, zakazuję ci mówić z nią.

W tej chwili zjawia się ksiądz w progu kaplicy, odziany w ornat; towarzyszą mu dwie siostry i prze-rażeni ministranci.

KSIĄDZ: Siostry, módlcie się za nią!..

PRZEORYSZA rzucając się na kolana:
Ojże, ty wiesz..

KSIĄDZ głosem surowym:
Siostro Beatryks!..

DZIEWICA stoi w miejscu nieruchoma.

KSIĄDZ głosem gwałtownym:
Siostro Beatryks!..

DZIEWICA stoi w miejscu nieruchoma.

KSIĄDZ głosem przeraźliwym:

Siostro Beatryks! W Imię Boga żywego, którego gniew rozgrzmiewa naokoło tych murów, wzywam cię po imieniu raz trzeci!..

PRZEORYSZA. Nie słucha.

SIOSTRA REGINA. Nie chce słuchać!..

SIOSTRA BALBINA jak szalona:

Nieszczęście! nieszczęście na nasze głowy!..

SIOSTRA GIZELA: Ojże! Wstaw się za nas, ulituj się nad nami!..

KSIĄDZ: Tu nie ma wątpienia; poznałem tu ponurą pychę księcia ponurych ciemności i ojca pychy.

Zwracając się ku Przeoryszy.

Tobie ja, siostro oddaję. Niechaj cierpliwość ludzka nie przywłaszcza sobie praw nieskończonej miłości.. Dalej, dalej, siostry moje, zawleczenie winowajczynię przed stopnie świętych ołtarzy, w obliczu Tego, przed którym aniołowie rzucają się na kolana, zedrzyjcie z świątokradczyni te suknie i kosztowne kamienie; odpasce pasy swoje, poskręcajcie dyscypliny, z kamiennych słupów portalu ciężkie dla przeniewierstwa ściągajcie rzemieńce i różgi dla wielkich pokutnie.. Idźcie, idźcie, siostry moje! A niechaj wasze ramiona będą srogie, a ręce wasze bez litości.. Miłosierdzie je zbroi a błogosławi je miłość!..

Mniszki wloką Dziewicę, która idzie pomiędzy niemi obojętna, bezwładna, nieoporna. Wszystkie, z wyjątkiem siostry Eglantyny, odpasały już sznur podwójny, opasujący ich biodra. Wkraczają do kaplicy, której drzwi zamykają się za niemi; ksiądz, który został sam, rzuca się na kolana przed opuszczonym piedestałem. Dość długa cisza. — Naraz, przez zamknięte wrota

kaplicy przeciska się hymn przedziwnie słodki. Jest to pieśń na cześć Przenajświętszej Dziewicy „Zawitaj gwiazdo morza“, zdająca się być odgłosem dalekiego śpiewu aniołów. Powoli śpiew staje się coraz to wyraźniejszym, zbliża się, wzmacnia i rozrasta, jak gdyby jakaś niewidzialna a coraz to liczniejsza ciżba coraz gorętszy, coraz bardziej niebiański brała w nim udział. Równocześnie przedostaje się z kaplicy jakiś hałas, jak gdyby wywracały się krzesła i stalle, jakby spadały świeczniki, jakby rozbrzmiewały prze-raźliwe, szalone głosy ludzkie. Naraz otwierają się oba skrzydła wrót kościelnych i widać nawet, zatopioną w świetle przedziwnych rozblasków i płomieni, to podnoszących się do góry na kształt fal, to opadających, to się krzyżujących, a płomienistszych i promienistszych od blasków słońca, które rozjaśniają krążanek. Potem, wśród głośnego Aleluja i Hosanna, wybuchających ze wszystkich stron, zjawiają się zakonnice, jakby oszalone, zachwyczone, niezwykle, pijane radością i nadprzyrodzoną trwogą, potrzaskujące snopami światła, obrzucone cudownymi kwiatami, które podsycają ich zachwyt, oplecione od stóp do głów żywymi wieńcami, tamującymi ich kroki. Oślepię od deszczu płatów kwiecistych, któremi ronią sklepienia, zapychają zakonnice wskutek tłoku zbyt wązkie drzwi, chwiejną falą spływają po zalanych przedziwnym kwiatem stopniach, za każdym krokiem zrywają ciężar kwiecica z ziół, które w ich rękach rozkwitają na nowo; pierwszy ich zastęp otacza starego księdza, który się podniósł, dalsze zaś szeregi zbliżają się również w powodzi żywych kwiatów, zalewającej całą drogę aż po stopnie portalu.

ZAKONNICE tłocząc się z kaplicy, zapelniają krążanek, śpiewając i obejmując się wzajemnie wśród nieskończonej powodzi kwiatów:

Cud! Cud! Cud! O! mój ojże! Mój ojże! Hosanna! Hosanna! Hosanna! Hosanna! Mój ojże, ja nie już nie widzę! Hosanna! Hosanna! Pan nas otoczył swym blaskiem! Niebo rozwarło się przed nami! Aniołowie przyłaczają nas i ściągają nas kwiaty! Hosanna! Hosanna!.. Siostra Beatryks jest świętą! Dzwoncie, dzwoncie w dzwony, aż popękają spiżę! Siostra Beatryks jest świętą!..

SIOSTRA EGLANTYNA cała okryta kwiatem, bardziej jaśniejąca od innych:

Płomienie wystrzeliły i przemówiły promienie!

SIOSTRA KLEMENTYNA: Aniołowie na ołtarzach zwrócili się ku nam!..

SIOSTRA GIZELA: Święci złożyli ręce i nachylili się ku niej..

SIOSTRA EGLANTYNA: Posągi na kolumnach rzuciły się na kolana!..

SIOSTRA FELICYA: Archaniołowie śpiewali, roz-taczając skrzydła!..

SIOSTRA KLEMENTYNA: Wszystkie kwiaty nie-bieskie tryskają z naszych dłoni!..

SIOSTRA FELICYA: Ręce nasze, które ją biły, oblały się światłem!..

SIOSTRA GIZELA potrzaskując ciężkimi girlandami róż:

Żywe róże wyswobodziły ją z więzów.

SIOSTRA BALBINA, powiewając ogromnemi snopami lilij:

Przedziwne lilje wystrzeliły z różg!..

SIOSTRA FELICYA, chwając płożącymi palmami:
Długie palmy złociste rozblęły z rzemieńców.

PRZEORYSZA padając na kolana przed księdzem:

Ojczy, zgrzeszyłam! Siostra Beatryks jest świętą!..
KSIĄDZ, klękając również: Córkę moje, zgrzeszyłam;
nieprzeniknione są zamiary i zamysły Pana!..

W tej chwili słychać pukanie do bramy klasztornej i w progu zjawia się Dziewica, w ludzkiej znowu postaci, w skromnym płaszczu i welonie siostry Beatryks. Schodzi po stopniach i z spuszczonego wzrokiem i z skrzyżowanymi rękoma kroczy pomiędzy klęczącymi siostrami poprzez kwiaty, które się znowu podnoszą. Spełniając, jak gdyby nie się nie stało, pokorną swą służbę, zwraca się ku wrótniom i otwiera je na oścież. Wehoda trzej pielgrzymi, ubodzy, strudzeni starcy, którym głęboki oddaje pokłon, a potem, wzięwszy z stojącego opodal brązowego trójnoga biały dzban i czarę złocistą, mileżąc zlewa wodą ich ręce, okryte pyłem.

PRZEŁ. JAN KASPROWICZ.

PROF. DR. JAN BOŁOZ ANTONIEWICZ.

WYSTAWA BOECKLINA WE LWOWIE.

(II.) Wspomniałem powyżej Böcklina „Malarstwo i Poezya“. Przepiękny ten a niezupełnie dokończony obraz sięga epoki florentyńskiej 1873—1884. U p. Korna we Wrocławiu jest drugi, późniejszy egzemplarz tego dzieła, spokojniejszy, może bardziej poetyczny przez ciemne tło pinii. Nasz daje natomiast całą świeżość pierwszego impulsu, a mistrzowsko komponowaną i malowaną architekturą wznosi się bardziej do wyżyn monumentalnego dzieła. Wiemy, tuż za tą kolumną z ciemno-brunatnego porfiru stać muszą pinie i cyprysy, te płatne płaczki południowych krajów, i wonny wawrzyn, a dziś może fruwają już w tym lesie sławne „specialità della casa“, te lotne ametysty włoskich lasów, pierwsze liliowe motylki.

Szaremi węzami wiją się z tej wyżyny zapewne ścieżki ku dolinie, rozszepiają się na ostatnim łagodnym skłonie, w arterye wiodące do wil, do „saletti“ i „vigne“, do kampaniów i kaplic. Widzimy te wille, winnice i kaplice, w milowym oddaleniu, a, jeżeli las mileży i niebo pogodne, doleci stłumiony szmer szumiącego Arna. Tam w dolinie życie, „erga kaj hemera“, dni i prace, tu na górze byt i wieczność, tu kapitał, tam same procenty.

Na tej wyżynie, w tym dziedzińcu jest Poezyi i Malarstwa przybytek. Tak! one nie żyją, one są, bo ich byt jest po za procesami życiowymi, nie wiruje wiecznym kółkiem kolebki i grobu. Myśli mają byt swój pozazyciowy. Nie mówmy o nich, że one wraz z tradycją się macą, że wraz z materją wiekami giną. Po setkach, po tysiącach lat, odżywają one, te same, nowem płomiennem życiem, a żadne anioły w rajskim uniesieniu na rysunkach Sandra Botticellego, w tak święte uściski się nie splatają, jak myśl z myślą w nieobliczalnej chwili, w pozaczasowym bycie! Ponad grobami wiąże się one, dłońie sobie podają, spływają ze sobą jak chmury; jedne w długich, wlokących się smugach; to myśli płynne, drugie znowu w rytmicznie chyżych, jasnych konturach: to dzieła sztuki. Cudów pragniemy lub w cuda nie wierzymy. Alboż to nie cud? Ale, — niewiem,

czy to dowód naszej siły czy słabości — cud ten chcemy widzieć, cud sam, albowiem przedmiot cudu.

We freskach pompejańskich, w prorokach i symbolach Michała Anioła, w obrazie Tycyana widzimy te idealizowane przedmioty cudów, te stygmatyzowane ideały, widzimy je też w tych jedno- lub dwupostaciowych ideałach Böcklina. Są to — trzeba się zdobyć na odwagę i wyrzec słowo, słowo spotwarzone, spotwarzone przedewszystkiem i skalane przez sztukę samą, — są to: alegorye. Nasz dzieci a zarazem i prapraprawnuków baroku straszy się tym słowem, jak upiorem. Sztuka taka, jak barok, znająca i uznająca życie tylko, mogła w alegorii stworzyć tylko coś niższego od życia, dalekiego od prawdy, musiała stworzyć, pozę, nieprawdę. Biada kłamecy! Ale była przed barokiem sztuka i wróciła nam ona znowu dziś, która tego strychulca nie zna, sztuka, która wie, że jest coś więcej jak życie tylko. I dziś na pytanie: „Czyż jest w tych alegoriach życie, pełne, prawdziwe?“ odpowiada ta sztuka: „Jest w nich coś więcej“. Mamy wprawdzie liczne decyzje najwyższego trybunału dla spraw estetycznych*), odprawiające stronę z żądaniem uznania alegorii. I cóż z tego? Jako mówi w V akcie Zbójców Franciszek Moor? „Śmieję się Danielu! Śmieję się z tego! Te sny pochodzą z żołądka“ — przepełnionego barokiem.

I w dzieła tego kierunku jest nasza kolekeja najbogatsza. Oprócz alegorii „Poezya i Malarstwo“ z wielkiej epoki florentyńskiej mamy z późniejszych lat dwie „Melpomeny“, jedną mniejszych rozmiarów, drugą naturalnej wielkości, a w niej jeden z najwyższych, najbardziej absolutnych typów kobiecych, jakie Böcklin stworzył, obraz mimo nie wykończenia imponujący, a dzięki właśnie swemu fragmentarycznemu stanowi tak nieoceniony dla poznania faktury: trzy barwy, zielonawo biała — szkarłatno różowa — i brunatno czarna składają się w akord wprost niesamowity, mamy wreszcie alegorię „Nadziei“, tę ostatnią już wprost w duchu pompejańskim pojętą. Nie wątpię, że ten kierunek myśli i twórczości Böcklina nawet dla lepszego jego znawcy nie małą będzie niespodzianką. Zadziwi go również sam fakt tej wewnętrznej potrzeby kształtowania absolutnych typów umysłowych, objawiający się już z początkiem lat siedemdziesiątych — (najwcześniejsze dzieło takie to chyba „Magna Parens“, żywiołowa przyroda, w Bazylei z r. 1870), jak nie mniej ten drugi fakt, że te jak i inne „alegorie“ jawnie i otwarcie przyznają się do pokrewieństwa z freskami pompejańskimi. Już przed rokiem 1870 zaczął być Böcklin co raz pilniej studiować malarstwo starożytne, a dnia 14. sierpnia 1866 dał się w zachwycie dla Pompei porwać do następującego skrajnego zdania: „Pompejańscy malarze, chociaż co do pozycyi socyalnej tylko rzemieślnicy, byli przecież większymi mistrzami od wszystkich późniejszych malarzy XV. i XVI. wieku**). Co do artystów XVI. w. zmienił pogląd swój szybko, ale niewiem, czy może później zdania swego i co do tych malarzy XV. wieku, t. j. do t. zw. quattrocenta, nie zmodyfikował. Czyż on ich rzeczywiście nie cenił, czy ich tylko nie lubiał? Czy go

*) Weźmy n. p. rozprawę Kunona Fischera o Fauście Göthego.

**) Rudolf Schick: Tagebuch-Aufzeichnungen u. d. Jahren 1866, 1869, 1869 über Arnold Böcklin, 1902 str. 101

może niepokoił? Stosunek jego do quattrocenta florentyńskiego przypomina mi żywo znaną antypatyę sławnego wiedeńskiego profesora Akademii Ottona Wagnera do gotyku. Twórcą t. zw. secesyi architektonicznej nienawidzi go jako formy, a dla artysty tej miary forma jest wszystkim w rzeczy samej; atoli dąży on do celów takich samych, do wytworzenia stylu jak najprostszego, w którymby społeczne i myślowe warunki swego czasu zupełny i szczerzy wyraz znalazły. Tak samo Böcklin w rzeczy samej, w tematach i technikach swoich w zupełnej jest zgodzie z ideą mistrzów XV. w. i on stawia człowieka jako jedyny punkt, w którym przeciwne prądy, askazy i uciechy, starożytności i natury, kultury i żywiołowych popędów się spotykają i wyrównują.

Jest on więc podobnie do tamtych mistrzów na wskrós ezoterykiem i na wskrós humanistą. A zaiste ma on jednego tylko, rozpiętością myśli, żywiołową siłą, fantastyką bajki i barwy sobie równego, a tym jest raijski ptak kończącego się XV. w. — mistrz pośród mistrzów pędzla Giorgione z Castelfranco.

Najbliższe tych alegoryj stają portrety, także impregnowane formalnie wyższym sentymentem i wysokimi wartościami psychicznymi. Mamy ich cztery: dwa najstarszej córki mistrza, żony rzeźbiarza Piotra Bruckmanna we Fiesole, dalej autoportret malowany w Wejmarze 1861—2, z dziwnym wyrazem tęsknoty i niezadowolenia, boć stosunki tamtejsze mu nie dogadzały, a z panami kolegami ze szkoły malarzkiej nie żył na najlepszej stopie, wreszcie a najciekawszy zaś czwarty, choć mu na ostatnich dotknięciach pędzla zbywa, to portret Gotfryda Kellera, znanego przyjaciela i towarzysza z Olimpu i — Ratskelleru w Zurychu. Z nim-to w miejskiej winiarni co wieczór przez lat kilka po kilka godzin w najzupełniejszej zgodzie umysłowej — przemileżał.

Ile surowości i poezyi w tem oku! ale w karnacji o silnych czerwonych płamach (stonowanych zielonawem tłem tapetu) widać, że dla Kellera Bakohus był równie „życziwile usposobionym“ jak Apollin, i Hipokrene jego Pegaza płynęła z nadreńskich winnic. Keller — to energiczny i wytrwały potator; dziwi mnie więc, nie, że są kwiaty na stole, ale, że stoją we wodzie. Tego płynu Keller na stole nie lubiał.

Duch tego wielkiego poety-humorysty, duch Kellera też skomponował w umyśle Böcklina tę sławną „monumentalną“ humoreskę, „Szaleństwo Orlanda“ (według XXIII i XXXIV. ks. Aryosta). Cóż za dziwne krzyżowanie się ras w tym temacie na wskrós romańskim i przedstawionym z rasowym poczuciem alemanskiego humoru. Nie są-że to kellerowsce „Ludziska z Seldwyli“ ei, co tu z widłami, hakami, rydlami i motykami na Szalencu się wybrali, w czerwonych kurtkach i złotych szlafmycach! Słusznie też mówi Hevesi, że postać biednego chłopunia, wirującego jak piłka w powietrzu, nie ma równej sobie z punktu skrajnej humorystyki w dziejach sztuki. A ten Orland jest dziełem 70-letniego starca! To są zagadki przyrody, czasami tak hojnej.

Wszystcy, którzy zbiór nasz poddali dokładnej krytyce, są jednego zdania, że „Krajobraz do polowania Dyany“ (Nr. 11. mego katalogu) z punktu czysto malarzkiego jest najznakomitszym dziełem całej kolekcji. Odpowiada on też najbardziej pojęciom ogólnym o Böcklina. Servaes uważa go wprost za najlepszy obraz ostatnich lat 15 mistrza. Wy-

kończony zaś obraz „Polowanie Dyany“ (Nr. 13) nie ma już tych zalet, w kolorycie jest prawie ociężały. Jedno atoli znamionuje w nim mistrza wielkiego, to kompozycya przestrzeni, konstrukeya obrazu. Ale ten względ wiedzy nas już do innej ważnej, może najważniejszej kwestyi.

Wracam w tym celu po raz trzeci — i ostatni do „Poezyi i Malarstwa“. Stając przed tem dziełem mamy uczucie pokonanego bezmiaru, nieskończoności uchwyconej w zrozumiałą formułkę, pierwiastka wyciągniętego z pojęcie „przestrzeni“. Jest w tej kompozycji jakaś wielkość wymiarowa, tak pokonana, w takiej redukcji przedstawiona, że prawie przywodzi na pamięć ów przesławny kołos mauzoleum egipskiego, który Leonardo da Vinci ujarzmił w ówiarce karty swego kodeksu atlantyckiego. Wszeczeńświat ogarniają „Poezya i Malarstwo“ ze szczytu swego wzgórza, po wszeczeńświecie wodzi wzrokiem niezrównanej potęgi jego Melpomena, jako reprezentant wszeczeńświata staje św. Paweł przed nami, odziany w płomienisto-porpurowym płaszczem w samym środku marmurowego portalu. Skąd to uczucie się rodzi? Gdzie źródło tego uczucia, że w tych ramach, w prostokącie o trzech do czterech metrach kwadratowych artysta zamknął świat cały, jak w pułapce?

Zagadkę rozwiązuje Böcklin sam, zbadaniem stosunku człowieka do przestrzeni. Böcklin daje tyle przestrzeni, ile dany organizm z punktu danej akcyi, danego nastroju niezbędnie potrzebuje, ale ani linii więcej, w Centaurze i Nimfie naszego zbioru (Nr. 2. mego katalogu) maluje drzewa tylko do tego punktu, do którego oko centaury dosięgnąć może, w „Willi nad morzem“ daje spienionej toni tyle tylko, ile oko tej ostatniej z rodu (tej Ifigenii czy też — bohaterki z Bayle'owego „rouge et noir“) ogarnąć jest w stanie, on tworzy i konstruuje przyrodę, stosownie do pojemności i siły zmysłów danego człowieka, on nie obiektywuje, on nie stwarza jeźdźca i wybrzeże n. p. w „Rycerzu błędnym“, ale tyle tylko tego wybrzeża ile ten rycerz patrząc przed siebie lub za siebie wzrokiem ogarnąć jest w stanie. On stwarza człowieka, i dla niego przestrzeń i rozmiar. Nie bardziej pouczającego z tego punktu, jak sądy Böcklina o Farnesynie, jak podziwy jego dla „Psyche“ Raffaela.

Tak więc — a to druga a może i nie mniejsza niespodzianka — staje Böcklin przed nami jako jeden z największych konstruktorów malarzskich, jakich sztuka zna. „Cóżby się stało“, pyta się Berenson w swych pięknych studyach nad sztuką florentyńską, „cożby się stało, gdyby świat mongolski rzeczywiście kiedyś zniszczył doszczętnie naszą kulturę, gdyby dzikie hordy wtargnęły do Watykanu, i rozłożyły się w Camera della Segnatura, przed Dyspustą, Parnasem, przed Szkołą Ateńską? Symbole religii, poezyi, myśli do nich by nie przemówiły, ale stanęłyby jak wyrte przed bezmiarem przestrzeni, którą Raffael w te dzieła zaklął“. Z zawrotem głowy, dłonią oczy przysłaniając wodziłoby trwożliwym wzrokiem po kopule i sklepieniach wynoszących się nad głowami Arystotelesa i Platona.

Z Pierem della Francesca, z Raffaelem, z Claude Lorrain'em staje Böcklin w rzędzie jako jeden z największych konstruktorów wymiarowych. Ale dla Raffaela był pokonany wymiar sam przez się pewnym absolutem, potęgą o własnem życiu i własnych potrzebach — tak samo jak człowiek. Ten wielki harmonizator, ten niezrównany superarbitr w sporze

odwiecznym między duchem a materią, także i te dwie potęgi zrównoważył i pogodził. Claude Lorrain natomiast nie znał człowieka, znał tylko staffaż, postać ludzka była mu tylko — perspektywnym pionkiem. Böcklin przeciwnie stworzył świat swój poto tylko, by go poddać człowiekowi. Świat nie deptany stopą ludzką, nie podległy ludzkiemu oku i uchu dla niego nie istnieje. Odmawia mu wprost artystycznej racji.

Rozumiemy teraz dlaczego ustawicznie ganił, że w Staneach Raffaella jest „za wiele powietrza“. Nie da się zaprzeczyć, w stosunku do Raffaella stworzył Böcklin świat bardziej ludzki, dał — „humanioza“ — wyższe człowieczeństwo.

Może Böcklino-fobi, a wyznawcy „wiecznych wzorów“ zechcą to wziąć pod rozwagę! Problemy świetlne grały u niego rolę podrzędną, nie jest on więc „aktualnym“; natomiast rozwiązał on problem przestrzenny, w czysto subiektywny sposób. Sztuka jego oddaje znowu ziemię jako lenne poddaństwo ludzkości.

Trzej byli żywiołowi mocarze, którym Erda, ona, co wie wszystko, co było, co jest i co będzie, drząc na ciele przed ich zaklęciem, wyznała tajniki i prawdy — dalsze. To Michał Anioł, Rembrandt i Böcklin. To, co on dał nie jest darem na dziś, ni też odpowiedzią na pytania dnia dzisiejszego, ale ma on rozpięcie na tę dłuższą przestrzeń czasu, po za którą kończą się nasze noce, a którą my, biedni i mali, dla omamienia uczucia tej naszej biedoty i małości, nazywamy — wiecznością.

KSIAŻKI.

(s) *G. Zapolska-Janowska*: „Jak tęcza“, powieść.

Pewnego ciepłego dnia letniego wyrwała się piękna pani Helena jak motyl z czarnego pokrowca żalobnych szat wdowich i jedzie na grób męża złożyć tam trochę kwiatów w ofierze. Po drodze snują się jej różne myśli podróży, wyjazdu w świat. Gna ją chęć życia kobiety 30-letniej, przykutej dotąd jakby w klasztornej celi do człowieka dobrego, uczciwego, lecz od niej znacznie starszego; chęć życia złączona z pragnieniem zaznania jak największej pełni wrażeń. Prócz tego wypiera ją z domu jeszcze co innego. Oto nachodzą ją chwile nieznośnej, śmiertelnej trwogi, momenty, w których dusza zdaje się od niej odłączać, a ona sama zamierać.

Nie wspominalibyśmy o tem szerzej, gdyby nie mocno zagadkowa istota owych stanów, które początkowo, mając znaczenie psychologiczne, później nabierają i fizjologicznego, bo w końcu w jednej z takich chwil Helena ginie, a śmierć jej autorka, a raczej miejscowe dzienniki, określają jako nerwową. Ale mniejsza o to. P. Helenę nie zdołają z trzymać beznamietne a darzące jakimś cichym spokojem poczulki młodego estetyka, — kontemplatora Weryhy. Leci w świat — po miłość. Jaką? Taką jak tęcza — „złożona z całej gamy uczuć, od purpury namietności aż do ciemni rozpacz“. Począyna się zatem wędrówka nowego Ahaswera żeńskiego, a raczej wyprawa Argonautki po złote runo miłości. W ciągu wyprawy tej popelnia p. Helena cały szereg fatalnych omyłek. Najpierw zachowuje się nie jak zwykła mieszkanka,

ale jak najpospolitsza gaska prowincjonalna, narażając się wśród półśmieszków kelnerów na zabiegi jakiegoś egzotycznego sekretarza papieskiego p. Durantina, zabiegi, które z owym wysnionem złotem runem nie wiele wspólnego miały. Zgnębiona niesmakiem i wstydem za siebie samą, porywa się, by osiąść aż na Lido. Tu spotyka adwokata Hawrata, który postępuje z nią cokolwiek... nie correct, zatajając, iż jest żonaty. Owłada jej duszą, ujarzmia ją potęgą olbrzymią swego ducha. Złote runo pochwycone. Helena kocha go pełną, wielką miłością, przechodząc w stosunku do niego całą skalę najsubtelniejszych stanów. W końcu tajemnica się wyjawia. Helena zdruzgotana wraca do Lwowa pod opiekuńcze skrzydła Weryhy, który ją uczy przeróżnych sztuk intelektu, umiającego wyciągać z wszelkich uczuć rozkosz piękną, choćby niemi była rozpacz, ból, lub gorycz wspomnień. Nauka jednak rozbija się, bo Weryho nie pewien siebie, a strzegący spokoju własnego znika. P. Helena ujrzawszy raz jeszcze Hawrata w sali sądowej ginie w ataku wyżej wspomnianym.

Wśród tych omyłek, największą, a zda mi się przez autorkę wcale nie spodziewaną i bynajmniej nie upragnioną, jest sama p. Helena. Bo owa „wielka rozkochana“ — takim wysokim tytułem darzy ją p. Zapolska — owa „la grande amoureuse“ wydaje mi się w swoich wzlotach, aspiracjach, wzniesionych ponad przeciętność, monetą podrabianej wartości. Bo cały jej artyzm wyrafinowany, subtelność wyczuwania, wysokie wzloty są dla mnie nie tyle owocem istotnej kultury ducha, co raczej nabytkiem może poczęści lektury, może po części warunków życia płynącego w dobrym bycie, ale jakby gwałtem tłumionego — podobnie jak jej piękność, bo p. Helena jest niezwykle piękna, i w to wolno wierzyć — jest nie rasowym wytworem długotrwałych pokoleń, lecz wynikiem przypadkowości. Z poza owych delikatnych powijków wytworności duchowych ukazują się mieszcza nierz wcale dobitnie i wyraziście. I dla mnie nieskończenie bardziej prawdziwą jest owa p. Helena, która na balkonie ogrodu w Axelmansteinie pod wzrokiem mężczyzny prostuje się w piękne linie i kokietuje go układem ręki, która przy emablującym ją Durantinie myśli o losie świetnym, jaki się przed nią może otworzyć w postaci... pani „sekretnarzewej“ papieskiej i przesuwają się przed nią, olśnioną, wspaniałości Watykanu, papież, kardynałowie etc. — ta, która na wymienione nazwisko obcego jakiegoś pana odpowiada z godnością prawdziwej właścicielki pięknej kamienicy przy ulicy Zygmuntowskiej: „kupiec — cóż to za pozyca... un marchand“ — od tej subtelizującej swe myśli i uczucia w stosunku do Hawrata, mimo, iż to wytworne piękno i szlachetną czystość linii jej duszy ma czytelnik dobitnie akcentowane. I owa pierwsza p. Helena zarysowuje się dość wyraziście zaraz w początku, kiedy Werysze obiecuje wyrzucić przez całe urządzenie swego pokoju, bo „przywiezie wszystko z Wiednia inne, secesyjne, świeże“. „Pani nie masz religii pamiątek“ mówi jej na to Weryho. Mógłby rzec także: „Pani nie masz i wielu innych rzeczy w duszy“ — ale mniejsza o to.

A drugą pomyłką taką — również zaimprovizowaną — to sam Weryho. Estetyk, znający intelektualne rozkosze piękna i twórczej, cichej kontemplacji, przemieniającej objawy życia w scenę niezamierzonych estetycznych zjawisk — początkowo, mimo szczerych chęci autorki, przerysowany nieco karyka-

turalnie, później wyskakuje z linii całkowicie wyrażony wypadkiem niespodziewanym, do jego istoty duchowej nieprzystosowanym. Dowiadujemy się, że ten artysta, kontemplator, przeto organizacja na wskrós na życiu wyobraźni oparta, ma za sobą katastrofę życiową, doskonale sentymentalną, w formie... zawiedzionej miłości jakiejś dziewczyny niewdzięcznej, która go porzuciła, zostawiając mu dziecko. I ten spokojny zaciszny artysta, snującego z tego, co życie nadarzy, obrazy piękna, owe skupienie się duszy w wyłącznej rozkoszy odczuwania estetycznych ma być dziełem pracy dokonanej na gruzach ducha rozbitego ową katastrofą! Ależ to farsa! Dla wymagań sentymentu dość — ładna, lecz dla psychologii nieco nieskładna.

Obie te pomyłki tkwią w samym rdzeniu książki, napisanej z talentem istotnym, który już nieraz poznawaliśmy, ale niespokojnym, nieokiełzanym, ślizgającym się po powierzchni, lubującym się w efektach jaskrawych, często pustych. Stąd snuje się on w szeregu scen nieraz ogromnie pięknych, czasem jednak dekoracyjnie efektownych, wiążących się niby w girlandy kwiatów niekiedy żywych przepyszną barwą i wonią, ale jakże często i sztucznych...

Jeszcze jedno: Powieść ta, pisana pod widocznym obuchem pospiechu, winna była przed wydaniem książkowem przejść staranne rozpatrzenie autorki. Należało ją oczyścić z różnych niedokładności składniowych jak „analiza w jaką poddawała“ itp., — powykreślać z niej owe pliszy, figara i inne modniarskie szczegóły, podawane w momentach, w których uwaga na nich spocząć nie może, pousuwać wreszcie tu i ówdzie zbędnie szafowane i nadużywane słowo mistyczny i mnogie makaronizmy jak teoria (théorie), feryczny (féérique), farandola (farandole), mustikiera (moustiquaire) etc.

PISMA.

(c) „Mercure de France“. Styczniowy zeszyt tego wybornie redagowanego, najstarszego a zarazem najbardziej modern miesięcznika francuskiego przynosi, jak zwykle, szereg doborowych a wysoce kulturalnych i zajmujących artykułów i sprawozdań. Więc w artykule wstępnym, zatytułowanym „Fragments traktatu o dziennikarstwie“, p. Loyson-Bridet w formie ironicznych rad i wskazówek dla młodych żurnalistów, daje wyborną, niezmiernie ciętą i trafną satyrę dzisiejszego dziennikarstwa, w szczególności francuskiego, o którym powiedział już Baudelaire, że nie rozumie, jak ręka czysta wziąć może którykolwiek z jego organów bez konwulsyjnego wstrętu... W artykule tym, ilustrowanym bogato świetną kolekcją autentycznych „kwiatków“, wyróżnia się zwłaszcza ciętością swą humorystyczne zestawienie stu książek, których znajomość najzupełniej wystarczyć powinna dziennikarzowi, oraz słowniczek „dobrych powiedzeń“ — W dalszym ciągu p. F. Gautier zamieszcza piękne studium o „Życiu miłosnym Baudelaire'a“. Autor wybornie charakteryzuje erotyzm twórcy „Kwiatów grzechu“, nazywając go cerebralnym sensualizmem i poetycznie maluje nam po-

szczególne etapy sentymentalnego życia tej dziwnej duszy, miotanej ustawicznie pomiędzy Spleenem a Idealizmem. W tem życiu dwie postacie kobiece wysuwają się na plan pierwszy: Jeanne Duval (1841—1852) i pani Savatier, zwana „prezydentką“ (1852—1858). Pierwsza z nich, mulatka z San Domingo, kobieta o najniższych instynktach — to klątwa, ale i natchnienie zarazem jego burzliwej młodości, a przedewszystkiem ucieleśnienie snów poety o rozkosznych krajach, które na całe życie czarem swym egzotycznym opętały jego wyobraźnię. Powraca on do niej raz jeszcze po krótkim stosunku z drugą a opiekuje się nią troskliwie aż do końca jej nędznego żywota zakończzonego w szpitalu. Druga, to piękna zarówno jak i wysoce wykształcona pni Savatier, zwana dla eufonii także panią Sabatier, z którą poetę przez pięć lat łączyły jedynie — anonimowo przez niego pisane listy... — W zeszycie omawianym spotykamy jeszcze dokończenie ankiety w sprawie wpływu Niemiec, a mianowicie głosy rozmaitych wybitnych muzyków i znawców muzyki w sprawie wpływu muzyki niemieckiej, które wszystkie prawie stwierdzają przedewszystkiem wielki wpływ Wagnera na nowszą muzykę francuską, belgijską, włoską i t. d. — W dziale sprawozdań, wspaniale redagowanym, wyróżnia się, jak zwykle, przegląd powieści prowadzony stale przez pnią Rachilde. Są to cięte, pełne sprytu i finezyi, krótkie charakterystyki, w których wiele jest kultury, inteligencji prawdziwie francuskiej i kobiecej zarazem, wiele złośliwości i zamiłowania do wszelkiej perwersyi. Gdyby u nas pni Zapolska miała mniej sentymentu a więcej kultury, byłaby polską Rachilde... Z kronik najbardziej zajmującą jest brukselska pióra Jerzego Eekhouda, który nie pomija żadnej sposobności przypomnienia światu o swym głośnym procesie, wdrożonym mu z powodu powieści *Escal Vigor*.

„Nuova Antologia“. Rocz. 37. w grudniowym zeszycie zamieszcza serdeczną wzmiankę o Zygmuncie Miłkowskim (T. T. Jeżu) wraz z wizerunkiem. Chlubą tego zeszytu są sonety D'Annunzia z II. księgi jego utworu: „Laudi“, opiewające „Le città del silenzio“.

„La Lecture en Famille“. Rocz. X., zeszyt 1., drukuje romans Marshalla, bajkę Theurieta i niewydaną nowelkę Kiplinga o wielorybie, co polknął człowieka.

AFORYZMY.

Każdy człowiek publiczny ma dwie reputacje.

Już ta okoliczność, że stać się coś może bez woli panującego autorytetu, wystarcza, aby obudzić świadomość swobody.

H. Höffding.

W polityce doświadczenie na nie się nie zda.

A. Dumas.

Władza, spadająca na ludy, nie napotykać na opór, narastać będzie z szybkością przyspieszoną, przeszkody tylko nasuwane po drodze zlamia przynudzony postęp narodów.

J. Supiński.